

DODATEK do Nr. 16 „Gwiazdy Piekarskiej“.

Przyjaciel Domowy.

Pismo poświęcone oświacie religijnej, umoralnieniu i rozrywce umysłowej.

N. Piekary, piątek 24. Lutego 1890.

Napoleon I.

W roku 1841 ogłosił drukiem generał Montholon następującą rozmowę Napoleona I-go z generałem Bertrande, która miała miejsce na wyspie świętej Heleny. Mówi tamże Napoleon:

— Jezus pragnie miłości od ludzi, pragnie ich serc i to zupełnie i całkowicie — a to Mu się doskonale udaje. Ta okoliczność jest dla mnie dowodem Jego Bóstwa. Aleksander Wielki, Cezar, Hannibal, Ludwik XIV. pomimo swych zdolności dokazać tego nie mogą. Zwyciężyli świat, a nie mogli zjednać sobie przyjaciela. Chrystus przeciwnie — mówi, a natychmiast lgną doń całe pokolenia ludzi — a węzły, które je z nim łączą, są ściślejse, jak węzły krwi; świętsze i mocniejsze, jak cokolwiek bądź na świecie. On zapala płomień miłości, który nasze samolubstwo gasi, a przeważa wszelką inną miłość. Jakżeby nie można po tym cudzie Jego woli poznać to Słowo, które świat stworzyło?

Twórcy innych religii nie mieli ani pojęcia o tak szczytnej i szczerzej miłości, jaka stanowi istotę chrześcijaństwa. A nawet nie kusiliby się o zjednanie sobie takiej miłości, bo do tego czuje człowiek w głębi duszy swą zupełną bezwładność. Dla tego też największym cudem Chrystusa jest bezsprzecznie królestwo miłości — zjawisko dla rozumu niepojęte, a dla sił ludzkich nie możliwe.

Wszyscy, którzy prawdziwie weń wierzą, czują tę cudowną miłość, ów święty ogień, którego czas, choć wszystko niszczy, ani osłabić, ani ugasić nie zdoła. A ja, Napoleon, tem bardziej to zjawisko podziwiam, żem sam o podobną mi-

łość się starał. I to jest dla mnie wyborym dowodem Bóstwa Jezusa.

Ja wprowadziłem wiele tysięcy ludzi zapaliłem takim ogniem miłości ku sobie, że za mnie życie swoje oddali. Nie czynię tu, Boże broń, bynajmniej porównania między zapalem żołnierza, co się rzuca w bój śmiertelny — a miłością chrześcijańską; ale w każdym razie potrzeba było ku temu mej obecności, mego spojrzenia, mego słowa. Jedno słowo z ust moich zagrzewało serca. Rzeczywiście, ja posiadam tajemnicę tej siły czarującej; nie posiadam jednak tajemnicy, aby w nich miłość moją i imię moje uwiecznić.

Teraz, gdy jestem na wyspie św. Heleny, gdzie osamotniony przebywam, przykuty do skały — gdzie są moi przyjaciele? Taki to los spotyka wielkich mężów — taki los spotkał Cezara i Aleksandra! Zapominają o nas! Ludwik XIV-ty zaledwie skonał — a już go zaniedbali dworzanie, a może zeń nawet sztychili; bo już nie był ich panem — był trupem, który wkrótce miał zostać zgnilizną. Jeszcze chwila — a taki sam los i mnie spotka.

— Umrę przed czasem, a zwłoki moje oddane zostaną ziemi i staną się pastwą robactwa. Oto bliski los wielkiego Napoleona! Jakaż głęboka otchłań otwiera się między moją nędzą, a wiecznem panowaniem Chrystusa, który po całym świecie głoszony, kochany i uwielbiany bywa i jeszcze żyje!

Jego śmierć — czyż to znaczy umrzeć? czy to nie znaczy raczej żyć? Tak jest — śmierć Chrystusa, to śmierć Boga!

(Nicolas).

Opowieść z miejscowych tradycji.

(Dalszy ciąg.—Zobaczyć Nr. 2 r. b.)

— Grzeczność nic więcej.

— Pani!—zawołał Borucki, przyklękając — wierz mi, ale osoba twoja wywarła na mnie nieprzeparte wrażenie. Jam bezsilny teraz i radbym tak pozostać w nóg twoich.

Podala mu rączkę, gość pochwycił ją i okrył pocałowaniem.

— Ach pani? czyliż mógłbym mieć szczęście?

Wdowa nieco pochyliła się ku niemu.

Borucki szybki jak piorun, chciał dotknąć ustami jej szyi, lecz ta nagle odskoczyła, i w chwilę zniknęła w pobliskim kłacie.

Borucki pozostał sam mocno niekontent.

Spojrzał za uciekającą, a taką miał straszną minę, że ktoby go teraz ujrzał, mógłby go wziąć za prawdziwego Borutę.

Pani wkrótce przeszła w inną aleję i oko w oko spotkała się z panem Józefem.

— Gdzież ów przystojny szlachcic? — zapytał ją dość szyderczo.

— Nie widziałam go wcale — odpowiedziała figlarnie, uśmiechnawszy się.

— O pan! — rzekł pan Józef — mnie zazdrość zabija, a ty...

— Czyliż mi nie wolno być grzeczną dla gościa, którego więcej zapewne nie zobaczę?

— Dałby Bóg — rzekł pan Józef.

— Zazdrośniku! — szepnęła wdowa, idź oto lepiej poszukaj go, bo zapewne zabłąkał się w labiryncie.

Słowem tym towarzyszył taki słodki uśmiech, że Józef zupełnie uspokojony, ruszył w lewo do owego labiryntu.

Niezdługo obaj goście wrócili w dobrej harmonii.

Borucki przy stole był smutny i małowówny.

Po obiedzie zajechał powóz. Przy pożegnaniu Borucki całował piękną rączkę, przyrzekając przysłać po powóz i odesłać pożyczony.

— Zapewne nie zobaczymy się więcej — rzekła pani.

— Szczerzebym pragnął złożyć pani dowody mojej wdzięczności, mieszkam przecież tak daleko.

A zatem żegnam pana — wyrzekła wdowa smutnym jakimś głosem.

— Żegnam — odpowiedział Borucki, uradowany, jak gdyby w smutku pani zaczerpnął niejakaś nadzieję.

Konie ruszyły galopem.

III.

A przyjechać do niej trudno,
A odjechać od niej, nudno!

Minęła jesień, zbliżyła się zima, wdowa nieraz z utęsknieniem spoglądała na drogę, w końcu jednak zapomniała. Prawda, Borucki, mężczyzna przystojny i miły, ale któż tam wie czy nie ma żony czy jak i ona, chwilowego tylko nie doznał zachwyty.

Pan Józef pozbywszy się rywala tem silniej natarł

na romansową wdowę. Należało porachować się z uczuciami, tamten dawał chwilę przyjemności, ten zaś chciał się zenić na prawdę.

Jakkolwiek pan Józef nie żądał ostatecznego słowa, wiedziała, że dość jej kiwnąć palcem, a przyjaciel taki dawny, rzuci się do jej nóg.

Raptem pani Zagórska ucznia potrzebę spowiedzi serdecznej. Z tej całej chmary knukurentów ani jeden nie obudzał w niej zaufania.

— Józef, Józef — szeptała do siebie — pocziwy, prawy, dobry na męża, ale...

Rozległ się dźwięk dzwonka, sanie zaprzężone w trzy kare bieguny pędziły ku dworowi.

Serce wdowy uderzyło mocniej.

Niezdługo na progu stanął Borucki.

— Przepraszam — rzekł — żem dotąd nie zabrał mego powozu.

— Jakto? To pan przyjechałeś po powóz.

— Nie inaczej pani dobrodziejko, nie miałem czasu, interesa, processy... Jakże mi się łaskawa pani miewa? — dodał posuwając się do ładnej rączki.

— Jak pański powóz — tknie na miejscu — na którym mię pan pozostawiłeś, zapomniana...

Borucki oniemiał.

Była to wyraźna, bardzo wyraźna domówka do jego życzliwości.

Przypadł więc co żywo do kanapy i już bez obawy całował ręce zarumienionej pani.

— Pani myślałaś o mnie — szepnął.

— Niegodziwy! — odparła pani.

Rozmowa w tym nastroju popłynęła dalej. Oboje tak się zagadali, że już po raz trzeci weszła pokojówka zapowiadając obiad, a wdówka słuchała z rozpromienioną twarzą komplementów przystojnego szlachcica.

Wieść o przybyciu nowego a niebezpiecznego konkurenta padła jak piorun między zebranych w sali bilardowej.

— Niema podobno sposobu — rzekł pan Czuryło, — dostania się do folwarku pięknej wdowy.

— Ba, chciałbyś sąsiad jabłek, a nie masz już tęgich zębów — wtrącił zamaszysty szlachcic.

— Powiedzmy sobie po prostu jak w owej bajce: winogrona niedojrzałe i rozejdźmy się w swoje strony.

— Ja tam inaczej myślę — rzekł młodziutki Władzio — poczekam do ostatniej chwili. Dopóki wdowa nie stanie na kobiercu, dopóty mam prawo życia nadzieję.

— Byłoby nieprzyzwoicie objadać i opijać kobietę, nie będąc pewnym, że się ją we własnej chacie jak małżonkę ugości.

— Kto wie czy i ten jegomość będzie szczęśliwszy niż my.

Zbliżył się obiad.

— Panowie, prosimy do stołu — rzekła pani do mu wchodząc do sali.

— Dziękujemy szanownej pani — rzekli wszyscy konkurenci jednogłośnie. — Postanowiliśmy odjechać, czas zając się gospodarstwem domowym, zbliżają się święta.

— To przecież możecie panowie zjeść obiad jeszcze, a potem wcale was nie będę zatrzymywać.

Obiad jednak odbył się bardzo smutno, choć pan Józef i Borucki silili się na dowcipy.

— Rozpędziłem pani gości — rzekł Borucki, kiedy znaleźli się razem w ogrodzie.

— Nie pańska wina, ci wszyscy ludzie starali się o moją rękę, że jednak nie wyróżniłam z nich żadnego, zdecydowali się nareszcie mnie uwolnić. Czy pan sądzisz, że to tak miała rzecz mieć tylu na głowie?

— Zdaje się, że został ktoś jeszcze?

— Ciekawym? Któż to taki.

Do sali wszedł Józef, jakby w odpowiedzi na pytanie Boruckiego.

— A! pan Józef — wykrzyknęła Zagórska.

— Pani sądziła, że pójdę w ślad za innymi — mówił cicho — o! mnie tak łatwo odpędzić nie można.

Borucki dziwnym wzrokiem zmierzył Józefa i odwrócił się do okna.

Wdowa i Józef porozumieli się wzrokiem.

Rozmowa się urwała.

— To ja panią pożegnám — odrzekł Borucki.

— Dla czego się pan spieszy.

— Bo czas na mnie. Nie byłem w domu już od czterech miesięcy i nie wiem co się tam dzieje.

— Zostań pan jeszcze dni kilka, widziałeś pan przecie, że mię wszyscy opuścili; zanudzę się na śmierć w pustym domu.

— Wszak jest pan Józef.

— Oho! to i pan chorujesz na zazdrość jak uważam; nie obawiaj się pan, nikt tu pańskiego miejsca nie zabierze.

Tym sposobem chcąc nie chcąc Borucki pozostał i na dobre zabrał się do wdowy.

Chodzili razem, siadywali razem a taka między niemi zrodziła się zażyłość, że się wdowa bez swego przyjaciela nie pokazywała wcale na świecie.

Raz nareszcie Borucki chcąc naprawdę wiedzieć o uczuciach wdowy zapytał:

— Jakież też na przyszłość żywisz pani plany? — zapytał.

— Alboż mi tak źle, już raz kosztowałam słodyczy małżeńskiego pożycia; to mi wystarcza.

— Więc nie masz pani zamiaru pójścia za mąż!

— Idąc za mąż trzeba koniecznie poznać dobrze tego, któremu się oddaje naszą osobę i wolność na łaskę i niełaskę

— Pani dotąd nie wybrałaś nikogo!

— Nie.

— A ja?

— Pan? pan?

— Dla czego panią tak dziwi moje zapytanie?

— Znamy się bardzo krótko, bo jeżeli mię pamiętać nie zawodzi pan dopiero drugi raz jesteś w moim domu — wypowiedziała te wyrazy z bardzo figlarnym uśmiechem.

— O pani! czyliż dla dwóch serc rozumiejących się wzajemnie, potrzeba koniecznie szeregu lat?

— Prawda, ale ja nie wiem jeszcze czy nasze serca.... rozumieją się?

Borucki westchnął tylko.

Na to wszedł pan Józef.

— Przyszedłem pożegnać się z panią.

— Bardzo dobrze.

— Widocznie obojętnem jest dla pani, kto zostanie z pani przyjaciół — rzekł z przekąsem Józef.

— Nikomu niczego nie wzbraniam. Pragnę w zupełności być wolną i innym też nie tamuję woli.

Nastąpiło chłodne pożegnanie; ktoby jednak bacznie uważał, dostrzegłby niezaczynny znak porozumienia się między wdową a odjeżdżającym.

Borucki będąc świadkiem tego pożegnania nie posiadał się z radości. Jeżeli pan Józef odjechał, niezawodnie ja zostanę, myślał w duszy.

Chwilowe zapanowało milczenie.

— Pani moja — odezwał się błagalnym głosem Borucki — jakież wyrok mam usłyszeć z ust twoich.

— Przecież widziałeś pan, że najwierniejszy z przyjaciół mię opuścił.

Borucki padł do nóg pięknej wdowy, oświadczając się formalnie o jej rękę.

Nie odbierała nadziei, ale nie wyrzekła nic stanowczego. Borucki uważał to za najlepszą dla siebie wróżbę i postanowił zaczekać jeszcze chwilę.

Od tego dnia bywał dwa razy lub trzy razy w tygodniu, występując coraz dworniej i zwożąc dla pani swych myśli, rozmaite prezenta. Wdowa przyjmowała wszystko z uśmiechem, nie szafując przecie obietnicami.

— Należy nam koniecznie raz coś poś postanowić — odezwał się Borucki po upływie blisko miesiąca.

— Co pan właściwie chcesz odemnie?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Bajki podług Lafontaine'a.

Bajka I.

Jaskółka i ptaszki.

Nie jeden co za rozum płacił za granicą,
Wraca tak, jak wyjechał: z pustą mózgowicą;
Lecz bywają wyjątki. Jaskółeczka mała

W swych dalekich wędrówkach wiele skorzystała:
Lepszym niż Kogut była zwiastunem pogody,
A o dowcip ze Szpakiem mogła iść w zawody.

Otóż, na wiosnę, widząc, że konopne siemię
Rzuca kmieć pełną garścią w poraną ziemię,
Rzekła do małych ptaszek:

„Brzydka rzecz się dzieje:

Czy widzicie? ta ręka zgubę waszą sieje.

Z tych ziarenek wyrosną siatki,
Matnie, stryczki i wędzidla,
Słowem, różne zdraadne sidła
Na was i na wasze dziatki;
Dostaniecie się do klatki,
Lub, co gorsza, na patelnię!
Jeśli chcecie ujsć zagłady,
Posłuchajcie mojej rady:
Do pracy się weźcie dzielnie:
I te ziarna, źródło złego,
Wyjedźcie co do jednego“.

Ale ptaszęta Jaskółkę wyśmiały:

„Mamy innych ziarn do syta,
„Nikt cię o radę nie pyta.“
Gdy pola zazieleniały,

Jaskółka rzekła: „Jeżeli żyć chcecie,

„To czem prędzej, na wyscigi,
„Wyrwijcie wszystkie łodygi.“
— „Ot stara! nie wie co plecie,“

Wrzasnęły ptaszki; wyrwać konopie!
„Zabrakłoby na to dziobów w całej Europie.“
Nadeszło lato; Jaskółka znów prawi:

„Już praca was nie wybawi:
„Zie ziarno rychły plon dało;
„Lecz zważcie na mą przestrogę:
„Przez jesień i zimę całą
„Chroniąc się zdrady człowieka,
„Wsie omijajcie z daleka,
„Albo się wybiercie w drogę
„Pospołu z innemi ptaki.
„Ale wam siły nie staje,
„Powietrzne przerzynać szlaki,
„I wzbiwszy się po nad chmury
„Podążać w odległe kraje;

„Więc ukryjcie się w gniazda, w niedostępne góry,
„Gdzie was żadna zasadzka osiągnąć nie zdoła!
„Inaczej, poginiecie.“

Gwar powstał dokoła;

Ptaszęta, rozgniewane Jaskółki radami,
Zaczęły jeżyć piórka, wygrażać dziobkami:
Ledwie z duszą uciekła.

Tak Kasandry głosu,

Nie chcieli niegdyś słuchać niebaczni Trojanie:
W nagrodę śmierć zyskali, więzy i wygnanie.
I ptaszki podobnego doświadczyły losu;

Bo niejednen, bezpieczne rzuciwszy ukrycie,
Postradał wolność lub życie.

Fraszki i śmiechy.

Ojciec do synka, który się sprzecza z sąsiadką rodziców swoich:

Karolku! Karolku! mam ja tam z kijem przyjść?

Karolek. — Nie potrzeba, tatusiu, ja sobie z nią i bez kija poradzę.

— Wiesz co przyjacielu, rzemiosło nasze zaczyna być przykre. Policja się uwzięła i wszystkich złodziei wylawia.

— Tem lepiej, im nas będzie mniej, tem więcej zarobimy.

— „Jak to? To ty smarkaczu papierosy już palisz?...“

— „Niech się ojczulek nie gniewa, ale ja, jak mamę kocham, fajki palić nie mogę...“

— „O dla Boga! A pan czego się tak boi!?“

— „Ależ moja niewiasto, bo ta trzoda...“

— „Najprzód, nie jestem niewiastą, tylko dziewczucha, a po drugie, to nie jest trzoda, tylko proste świnię — i one między ludźmi to tak, jak między swoimi...“

„Mamusiu“, prosiła czteroletnia Kasia, „dajmi rodzenków“.

Dobrze, włoży rączkę do szuflady i zabierz w nią ile zmieścisz.

Kasia po namyśle: „Niech mama lepiej swoją rączkę włoży, to będzie więcej.“

Rozwiązanie Zagadki z N-ru 2-go

„Ka — rabin.“

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Paweł Matyschok, z Piekarskiej huty; Franciszek Kurc, z Bytomia; Teofil Filuś, z Królewskiej huty; F. Kott i Paweł Pierszalla z Michałkowic; Teofil Szoltysek z Łabęd; Piątek z Miechowic; i p. Jan Zernik z Borsigwerk.

Przyrzekliśmy dać rozwiązanie p. Franciszka Kotta, za zagadkę zamieszczoną jeszcze w N-rze 1-szym, oznaczającą „**Pozdrowienie**“, a który takową do Nru 2-go już za późno nadesłał. Wypracowanie to składające się z wierszy, brzmi jak następuje:

Pierwsza rzeka jestci to,

Odgaduję ja ją **Po**,

Znajdź ją w mapie, kraj należy

Do koł w czerwonej odzieży.

Rozpatrz się w tę mapę dobrze,

Obejrzyj ze trzech stron morze,
Więcej nad wszystek skarb zdrowie,

Inny skarb człeka któż powie;

Ej nad zdrowie skarbu nie ma,

Nie wydaje go też ziemia;

I na ostatku jest **nie**

Echo w sercu **pozdrowienie**.

Zagadka.

Gdy masz zgłoskę w drugiej zgłosce,
To i w mieście, to i w wiosce,
Lubią napój ten kobiety,
Choć nie wielkiej jest zalety.